



## Ryszard Latecki

część II z II

Sygnatura notacji: **N1358**  
Data urodzenia: **29.08.1956 r.**  
Data nagrania: **23.05.2019 r.**  
Miejsce nagrania: **Centrala IPN, Warszawa, Polska.**  
Prowadząca/y rozmowę: **Tomasz Sikorski**  
Czas nagrania: **część I: 60 min, część II: 43 min**  
Format nagrania: **video**  
Język nagrania: **polski**



## TRANSKRYPCJA



INSTYTUT  
PAMIĘCI  
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

**Ryszard Latecki:** Chciałbym jeszcze wrócić, znaczy już trochę powiedziałeś o aspekcie bezpieczeństwa, może coś będziesz chciał jeszcze do tego dorzucić, i od razu co się z tym zazębia dla mnie – zaufanie. To, co hasłowo mówiliśmy, że powiedzmy, przykład: jest wpadka, nie ma likwidacji obiektu, tak? Bo jest to zaufanie. To jest jakby niejednoznaczne, bo z jednej strony staraliśmy się zachowywać maksimum bezpieczeństwa, ale z drugiej strony nie zawsze się dało, po prostu. Czasem trzeba było zaryzykować i już. Na przykład zdarzało się, że drukowaliśmy w lokalach, które nie były tak na sto procent pewne, wiadomo było, że sąsiedzi, mała kamienica na Pradze, że kurczę, że ci sąsiedzi muszą to widzieć, muszą słyszeć, że ta maszyna tam dudni, ale nie było gdzie, no to się robiło, trzeba było robić, trzeba było czasem zaryzykować. Później zresztą jak z tej Pragi na przykład się wyprowadzaliśmy, to tam ludzie mówili: „O, wy już tu się wyprowadzacie? A myśmy was tak pilnowali tutaj”. Wiedzieli, no tak. Mówię, takie dwa zjawiska, takie dwa aspekty, że z jednej strony staramy się, ale czasem się nie da, czasem nie ma, trzeba wsiąść w samochód i jechać z tym towarem, no bo co? No tak. Taką technikę mieliśmy na samochody, dostaliśmy radiotelefony, takie były radiofony do podsłuchu tych pasm milicyjnych, ale też takie radiotelefony pamiętam Kenwooda, dobrej firmy, przyszły z Zachodu, to mieliśmy te radiotelefony, ale gdzieś one wpadły, w ogóle było zawracanie dupy z tymi radiotelefonami tam, więc taką technikę mieliśmy na przewóz, bo myśmy przewozili duże ilości tego, to wjazd na drukarnię to był wjazd z ciężarówką papieru, znaczy taką bez przesady, to były zwykle te większe Mercedesy bagażowe, nie takie Vito, tylko akurat takie były. No więc wjeżdżał taki samochód na drukarnię z papierem i od razu wywoził jakiś urobek, jakąś jedną czy dwie pozycje, książki skończone, i to trzeba było rozwieźć po punktach, gdzie ludzie składali te książki, oprawiali w introligatorskich jakby punktach, więc trzeba było rozwieźć, nie wiem, w kilka takich punktów po mieście tą ciężarówką. Staraliśmy się właśnie na te drukarnie wjeżdżać jak najrzadziej, żeby jak najmniej-

szy ruch robić wokół nich. Ten samochód jeździ po mieście, wozi ten urobek, ten papier zadrukowany, to mieliśmy taką technikę, że przodem jechał samochód, którego zadaniem było jak zobaczy sztrafę policyjną, zobaczy patrol policyjny, no to miał zawrócić, żeby nas tam ostrzec, więc jechał osobowy samochód, czasem nawet dwa takie samochody, czy z tyłu ktoś ubezpieczał, bo taką akcję robiło się dosyć rzadko, powiedzmy, raz na miesiąc, mówię, skończony wydruk jakiś jednej czy kilku pozycji, kilku książek, ciężarówka, no i jechał taki samochód, który miał za zadanie albo zawrócić, albo zrobić taki manewr, taki numer, żeby go ta policja – milicja, przepraszam, jeżeli kiedykolwiek użyłem słowa „policja” to nie mówię o policji, bo w tamtych czasach policji nie było, tylko była to milicja – więc żeby ta milicja go zhaltowała, zatrzymała i tam robiła mu, a on czysty, a my w międzyczasie przyjeżdżamy, oni są zajęci ty. Taki mieliśmy i to się raz-drugi udało, ale pamiętam taką sytuację, na Wyczółkach to było, gdzieś na tyłach torów wyścigów konnych, akurat to nie było wydrukowane, tylko papier zabieraliśmy tam z jakiegoś magazynu właśnie ciężarówką. No i pojechał samochód przodem, ten z obstawy, bo tam na kilka minut wcześniej go wypuszczaliśmy z zegarkiem tam, nie pamiętam, trzy-pięć minut miał jechać wcześniej, żeby zdążył zrobić ten manewr i zawrócić, no i on już pojechał, my ruszamy, te pięć minut minęło, a tu z bocznej uliczki policja wyjechała, sytuacja nie do przewidzenia, no i wyprzedzili nas, machają tym lizakiem – no co zrobić? Nie uciekniemy, ciężarówką się nie ucieknie przed samochodem osobowym. Zatrzymaliśmy się tym samochodem, już sobie szykuję, tutaj sprawdzam, czy fajki mam, bo to fajki w areszcie najcenniejszy towar, już się szykuję do zakucia w kajdany, ale patrzę w lusterko, a tam znowu jakaś ciężarówka za nami większa, i ci policjanci tak samo tę ciężarówkę taką wielką zatrzymują i przy tej ciężarówce zaczęli coś działać. Ja tego nie wiedziałem wtedy, ale okazało się później, że jesteśmy na jakiejś złodziejskiej drodze, bo tam na tyłach, właśnie w tamtym rejonie, były jakieś betoniarnie, jakieś składy materiałów budowlanych, i wszyscy, którzy kombinowali, jakieś budowy robili – podobno kościół na Ursynowie jest zbudowany z betonu, który był wywożony z tamtych betoniarni, więc to była słynna złodziejska droga i oni zhaltowali jakąś tam betoniarkę z materiałami budowlanymi, to się zatrzymali przy tym, to co, no to jedziemy i spierdoliliśmy, fart, no po prostu. Więc kwestia bezpieczeństwa, z jednej strony się uważa, ale z drugiej nie przewidzisz wszystkiego, a gdzieś jest jeszcze ten tak zwany palec boży, który gdzieś w jakiejś sytuacji takiej, w której już jest ewidentnie... Zaufanie. Zaufanie, no to mówiłem tutaj o „Grubym”. „Gruby” pomagał mi uruchamiać mój pierwszy offset, pierwszą offsetową maszynę i znał lokal, w którym stał ten offset. Były między nami różne konflikty, czasem dosyć silne konflikty takie międzyludzkie, ale zaufanie jednak było duże. „Gruby” poszedł siedzieć, ja drukarni nie zlikwidowałem, miałem taką pewność, że nie i mam takie przekonanie graniczące z pewnością, że w naszej grupie – to już mówię o tej szerszej grupie – nie było konfidentów. Gdzieś oni się mogli pojawiać właśnie na jakichś tam obrzeżach, że nie było ludzi, którzy współpracowali z bezpieczeństwem, mieliśmy do siebie zaufanie, a konflikty właśnie brały się przede wszystkim z tego, że my, drukarze, byliśmy bardzo uczuleni na punkcie bezpieczeństwa, a różni ludzie, tacy, którzy się bardziej zajmowali organizacją tego wszystkiego i oni traktowali to bardziej zadaniowo, ambicjonalnie, trzeba zrobić coś, często te zasady bezpieczeństwa łamali, no i to było główną przyczyną konfliktów między nami, one były. Później pod koniec już tej wojny polsko-jaruzelskiej – zaznaczam, nie stanu wojennego, bo to zawieszenie stanu wojennego tak naprawdę nie miało żadnego znaczenia, dziś, nie wiem, historycznie się oznacza, że stan wojenny to trwał od 13 grudnia osiemdziesiąt jeden do... ja nawet nie znam tej daty. Lipiec osiemdziesiąt trzy chyba. Osiemdziesiąt trzy? Tak naprawdę to represje były cały czas, wojna polsko-jaruzelska trwała do osiemdziesiątego dziewiątego roku. Ta data akurat nie ma żadnego znaczenia, też nie była jakimś takim przełomem, bo amnestie były już wcześniej, nie jestem pewien, ale wydaje mi się, że amnestie już wcześniej były, a represje były liniowo coraz słabsze, później już były wyroki takie

już pod sam koniec to kolegium, kilka miesięcy, a na początku te wyroki były bardzo surowe, rzędu nawet, nie wiem, kilku, ośmiu lat, nawet słyszałem o takich. Oczywiście nie wykonane, w sensie, że wcześniej była amnestia, ale tego przecież nikt nie wiedział – mówię o początku stanu wojennego, początku wojny – czy odsiedzi te osiem lat czy nie. Okazało się, w osiemdziesiątym trzecim chyba pierwsza amnestia, nie pamiętam tego. Interesuje cię sprawa tych różnych naszych konfliktów, bo jest też taka sprawa, kiedy już jakby ryzyko jest coraz mniejsze, represje coraz mniejsze, komuna coraz bardziej zdemoralizowana, bezpieka też, koniec lat osiemdziesiątych, oni się już zajmowali głównie ustawianiem się w różnych biznesach, to się czuło, że już nie jest tak ostro, no i wtedy pojawiają się takie grupy, które są gotowe drukować na dużo większym ryzyku, ale przede wszystkim za mniejsze pieniądze. Myśmy mieli jakieś wynegocjowane stawki za druk, przyzwoite. Interesuje cię to, pieniądze? Tak, no przecież mieliście rodziny, pracowaliście często nie na full, tylko na over, i z czegoś trzeba było żyć. Myśmy zarabiali pieniądze, drukarze zarabiali całkiem przyzwoite pieniądze, przy czym chcę zaznaczyć, że zarobki nasze brały się tylko i wyłącznie z drukowania. Był konkretny, była wynegocjowana stawka za drukowanie ryzy papieru, dwustronnie, ryza papieru – tyle i tyle, koniec, a oprócz tego każdy z nas, a ja na pewno, zajmowaliśmy się szeregiem innych rzeczy, czyli organizacją pracy składaczy, przewozami, organizacją materiałów i tak dalej, i tak dalej. Za to ja na pewno nigdy nie byłem wynagradzany. To było w pewnym sensie przedsięwzięcie biznesowe, książki były sprzedawane. Na początku sprzedawały się całkiem dobrze, później coraz gorzej, bo tak jak mówię, słabło takie zainteresowanie tą całą akcją antykomunistyczną, więc pieniądze były ze sprzedaży, ale nie tylko, przychodziły też pieniądze z zagranicy, wsparcie nie tylko materialne, w sensie materii, czyli maszyn, materiałów, ale też przychodziły pieniądze. Ja z tym nie miałem do czynienia, ale było takie konsorcjum międzywydawnicze, ludzie z tych kilku czy kilkunastu największych polskich wydawnictw zajmowali się rozdziałem tych funduszy, tego wsparcia na poszczególne, bo prawdopodobnie ze samej sprzedaży byśmy jednak nie utrzymali tego przedsięwzięcia, to bez wsparcia finansowego z Zachodu nie zadziałałoby. A moje osobiste, to tak jak mówię, to były bardzo przyzwoite pieniądze z drukowania. Poczekaj, bo mówiłem przy końcu lat osiemdziesiątych, kiedy pojawił się pewny konflikt, bo pojawiły się te grupy, mniejsze ryzyko, które były gotowe drukować za. A skąd się wzięła ta stawka? Takie stawki się też płaciło na dojsiach, bo nie wszystkie książki drukowaliśmy we własnych drukarniach, również drukowaliśmy na tak zwanych dojsiach, czyli oficjalnie działających drukarniach, małych drukarniach zwykle z małymi, większymi niż nasze, ale z małymi maszynami, Romayorami zwykle, no i na tych dojsiach się płaciło. Płaciło się za wydrukowanie formatu A3, ryzy, jakieś konkretne pieniądze, dokładnie te same pieniądze my kasowaliśmy, drukarze podziemni za drukowanie, no i pojawił się ten konflikt na koniec właśnie, czyli próba taka rozgrywania, że tutaj taniej ktoś zrobi coś. Wtedy zrobiliśmy strajk podziemnych drukarzy „Nowej”. Głównie to ja byłem inicjatorem tego strajku, tak że mam za sobą też działalność związkową, można powiedzieć, chociaż do „Solidarności” nigdy się nie zapisałem. Pracowałem, jak mówiłem wcześniej, w regionie Mazowsze „Solidarność”, natomiast zapisać się, jakby związek w związku, no to jakby... Na pewno się czułem związany z „Solidarnością”, znaczek „Solidarności” gdzieś tam w tamtych czasach nosiłem, był dla mnie czymś istotnym, natomiast nie byłem członkiem „Solidarności”, ale byłem członkiem i inicjatorem Związku Zawodowego Drukarzy „Nowej”. Wtedy zresztą dołączyłem do tego ścisłego kierownictwa, Komitetu Redakcyjnego „Nowej”, i to jest już następna historia, tu już jest właściwie koniec lat osiemdziesiątych, to już jest Okrągły Stół i się pojawia Magdalena, wyjazdy tam, no ale to jest zupełnie inna historia. Później Fundacja „Nowej”, która powstała już na ziemi i działalność na początku taka półoficjalna, ale już właściwie oficjalna „Nowej” i tak dalej, tak jak mówię, to jest osobna historia, wydaje mi się, że nie ma sensu jej w tej chwili wyciągać. Stany? Przepraszam? Stany? A to nie,

to epizod po prostu. To było przed czerwcem czy po czerwcu? To było po czerwcu. Do Nowego Jorku wyjechałem w końcu lipca osiemdziesiątego dziewiątego. Spędziłem tam pół roku, pracowałem w „Nowym Dzienniku” przez jakiś czas, dopóki mnie nie wywalili. Zajmowałem się tam łamaniem, znowu kwestia techniki, jakiejś opowieści, w każdym razie jakby takim opracowaniem graficznym, łamaniem tego „Nowego Dziennika”. Powiem, że to był dla mnie taki bardzo istotny wyjazd, bo wtedy wydawało nam się tutaj w Polsce, że jesteśmy takim zaściankiem świata, że ten Nowy Jork, centrum świata, kurczę, jak się tam pojedzie, to na kolana nas to powali, ta nowoczesność, piękno tego świata i tak dalej. Wyjechałem, a zobaczyłem taką tandetę, taką nędzę. Ja skończyłem studia w osiemdziesiątym pierwszym roku, jest osiemdziesiąty dziewiąty rok i ja trafiam do drukarni, no bo też drukarnia, jakoś tam chodziłem, nie pracowałem w drukarni, akurat w redakcji pracowałem, bo tam składanie było w redakcji, ale zobaczyłem technikę poligraficzną na takim nędznym poziomie, powiem nawet byle jaką, nawet powiem, że bardzo byle jaką. Myśmy tutaj wcale, okazało się, że nasza wiedza, nasze umiejętności w ogóle w niczym nie żadnych kompleksów, ale też żadnych kompleksów wobec tamtego świata, tamtej tandety. Nie wiem jak dzisiaj, bo od tamtego czasu nie byłem w Ameryce, do jakichś innych krajów wyjeżdżałem, ale w Stanach nie byłem od tamtego czasu, natomiast tam wszędzie była tandeta i taka estetyczna bylejakość. Jedyne miejsce, które mnie tam naprawdę zachwycało, to było Muzeum Sztuki Nowoczesnej, ale ono miało taki właśnie europejski wymiar, europejski design, Museum of Modern Art w Nowym Jorku i sklepik przy tym muzeum z designerskimi różnymi przedmiotami, ale okazało się, że albo z Europy pochodzą, prawie wszystko w tym sklepiku, albo jest zaprojektowane przez Europejczyków. A relacje międzyludzkie były straszne w tym „Nowym Dzienniku”, tam po prostu jakiś menadżer, no bo tam Wierzbiański, naczelny redaktor tam siedział i się tam specjalnie nie wtrącał do tego, co się dzieje, w pracy siedział zamknięty w gabinecie, akurat on takie sprawiał wrażenie. Starszy taki, porządny człowiek. Ale był tam taki menadżer, który chodził i wszystkich opierdalał, ale w sposób tak chamski, to był pierwszy dla mnie kontakt z takim wrednym, krwiożerczym kapitalizmem, że jak ktoś ma władzę nad tobą, jak ktoś ma władzę, pieniądze, to musi ci pokazać tę swoją wyższość. To było dla mnie bardzo takie przykre, bo ten menadżer potrafił opieprzać jakieś tam kobiety w sposób tak chamski, a cała redakcja to była wielka przestrzeń z takimi przepierzeniami, a więc wszyscy słyszeli, co się dzieje, wszyscy siedzieli tacy grzeczni. Tak jak to dzisiaj się w korporacjach bardzo często dzieje, hierarchia i takie budowanie swojej wartości na poniżaniu innych, na tym, że mogę, że jestem kimś... Idziemy do brzegu. Przyjaźnie z tamtego czasu, a może nie tylko przyjaźnie? Co przetrwało z tamtego czasu – mówię o okresie „Nowej”, o okresie stanu wojennego. O okresie do osiemdziesiątego dziewiątego roku. Paru kumpli tak, ale tak naprawdę to niewielu. Tyle lat minęło, życie każdego gdzieś tam poniosło w inne rejony, no i tyle. Czasem się spotykamy, wypijemy wódkę. Niektórzy już nie żyją, przecież to jest osiemdziesiąty dziewiąty rok, trzydzieści lat minęło. Jeszcze mam dwa pytania. Jesteś Kawalerem zaszczytnego Orderu Państwowego za tamtą pracę. Kto wniosował, jaki był wnioskodawca tego? Mirek Chojecki, którego ja nie znałem wcześniej. Ja z nim się spotkałem dopiero po osiemdziesiątym dziewiątym roku, bo wcześniej, przed wojną polsko-jaruzelską nie spotkaliśmy się. Przez drukarnię w regionie Mazowsze przewijało się mnóstwo ludzi, to też było takie miejsce bardzo przyjazne do spotkań towarzyskich, przychodzili ludzie. Czasem się długo czekało na to, aż tam redakcja skończy pracę i przygotowuje nam teksty do drukowania. Powiedzmy, że przychodziłem do pracy, nie pamiętam, ale tam na jedenastą wieczorem czy na dziesiątą, a druk się zaczynał dopiero o drugiej w nocy, bo coś się działo ważnego i to się przeciągało, w związku z tym to było takie miejsce spotkań towarzyskich, tam się przewinęło mnóstwo ludzi, bardzo dużo ludzi tam poznałem, natomiast akurat Mirka Chojeckiego nie. A Mirek Chojecki, założyciel „Nowej”, jakby ojciec chrzestny „Nowej”, 13 grudnia zastał go za granicą i on dopiero wrócił pod koniec,

już w czasie Okrągłego Stołu. Wtedy się spotkaliśmy, jakoś się polubiliśmy, nawet pracowaliśmy razem. Ja pracowałem dla niego w kontakcie, on taką firmę prowadził filmową właśnie, filmy dokumentalne robiła jego firma „Video-Kontakt” – to trochę kontynuacja tego „Video-Kontaktu” starego, no i ja pracowałem w tym „Video-Kontakcie”, zajmowałem się produkcją filmową wtedy, jakieś filmy dokumentalne zrobiłem. Zrobiłem, to może źle powiedziane, wyprodukowałem w ramach „Video-Kontaktu”. Pytasz, skąd to moje odznaczenie – no więc Mirek Chojecki kiedyś przesłał mi, już później, bo zanim my pierwsze odznaczenia dostaliśmy, to minęło wiele, wiele lat, zanim to środowisko podziemne, to nie dotyczy tylko „Nowej”, to generalnie zanim było jakoś tam honorowane w ten sposób, bo pierwszy okres to jest zachwyty kapitalizmem, wszyscy się rozpierzchni robić biznesy i tak dalej, a ankietę przysłał mi Mirek Chojecki i wydaje mi się, że on za tym stoi. Tak naprawdę nie wiem, bo nigdy mnie to nie interesowało. Myślę, że gdzieś tam w kancelarii sprawdzili, zrobili w IPN-ie właśnie jakiś tam research, czy nie byłem donosicielem, tak myślę, ale Mirek Chojecki mi przysłał ankietę, wypełniłem tę ankietę i tyle. Jest książka wydana przez IPN, jak byś mógł [powiedzieć], autor, tytuł i co tam o tobie w tej książce się znalazło. No to mnie zaskoczyłeś. Łukasz Bertram napisał bardzo fajną książkę, właśnie nie pamiętam tytułu. Nie „Ludzie »Nowej«”? Nie. Jakoś tak. Nie, bo jest też książka wydana przez Stowarzyszenie Wolnego Słowa, już nie pamiętam, która ma tytuł „Ludzie »Nowej«”, w każdym razie jest świetna książka, bardzo polecam, Łukasza Bertrama o „Nowej”. Składa się z relacji, z opowieści, takich, jak ja teraz tutaj ciągnę, ale dużo żywszych, dużo ciekawszych i fajnie zbudowanych, bo one się tam przeplatają, i te opowieści ludzi związanych z „Nową” przeplatają się z materiałami, które są z bezpieki – z podsłuchów, z inwigilacji, czyli jest jakaś tam opowieść, no nie wiem, Mirek Chojecki opowiada, jak tam gdzieś po bramach czy coś, siedzi w lokalu, który wie, że jest namierzony, tam w siedemdziesiątych latach i jest później to zestawione z jakimś tam dokumentem, z relacją esbeków, z ich raportem. Bardzo fajna książka, dałem ją mojej córce, przeczytała i mówi, że czyta się jak kryminał, że znakomita. A co tam o mnie? Są tam jakieś moje opowieści, moje relacje. Jak mówię, ja nie jestem tam kluczową osobą i ten taki, wydaje mi się, że najciekawszy czas, pionierski czas lat siedemdziesiątych – takie mam wrażenie, że wtedy to rzeczywiście wymagało [odwagi], to było dla ludzi odważnych, lata siedemdziesiąte szczególnie. I ostatni secik, możesz go bardzo syntetycznie, tak jak uznasz, ile masz jeszcze czasu i energii: Ryszard Latecki, od osiemdziesiąt dziewięć do 2009. Gdzie byłeś wtedy, gdzie jesteś dzisiaj i co robisz? To są takie sprawy też powiązane, jakoś wynikają z tej mojej działalności podziemnej. Powiem tak: po tych latach podziemnej poligrafii miałem poligrafii dość, po prostu zapach farby drukarskiej odbierałem już w sposób alergiczny niemal, no a tak się złożyło, że po pierwsze, właśnie z Mirkiem Chojeckim przez jakiś czas się zajmowałem, później już miałem własną firmę, produkcję filmową, telewizyjną, małe rzeczy dla telewizji – dokumenty, dokumenty muzyczne też, bo zawsze ta muzyka była dla mnie istotna, w ogóle istotna w moim życiu, tak że miałem taki epizod filmowy, ale też długi czas żyłem z projektowania i takiego menadżerowania, wykonawstwa wystaw targowych, bo firma, w której byłem zatrudniony na lewo w czasie podziemnym, firma informatyczna, jedna z pierwszych polskich firm, która się informatyką zajmowała, zresztą nazywała się Osiem Bitów, tak że to jest dosyć znaczące, prywatna firma, która powstała, nie wiem, w osiemdziesiątym pierwszym, drugim, trzecim, myślę, że w osiemdziesiątym drugim roku. Ja z informatyką nie miałem nic wspólnego, ale ta firma mi dawała pieczętkę w dowodzie, tam byłem przez niemal cały ten czas podziemia, tam byłem legalnie zatrudniony, bo to był taki czas, że nie można było funkcjonować bez zatrudnienia. Człowiek, który nie pracował oficjalnie, w sensie pieczętka w dowodzie, był pasożytem społecznym i był w jakiś sposób, nie wiem, jakie tam były represje, ale był represjonowany. Pasożyt społeczny nie miał prawa funkcjonować albo był na roboty gdzieś wysyłany, nie pamiętam. W każdym razie firma Osiem Bitów, która mi dawała tę pieczętkę w do-

wodzie, co było fikcją, bo ja tam raz w miesiącu się z nimi spotykałem i podpisywałem jakieś tam papiery, do ZUS-u czy do czegoś, oni wiedzieli, co ja robię, mniej więcej wiedzieli, ja też wiedziałem, że są zaangażowani. Okazuje się, że oni byli w innych strukturach, byli bliżej Wydawnictwa „Krag”, ja bliżej „Nowej”, no ale, powiedzmy, nie tak aktywnie jak ja, oni nie byli zawodowcami, ale byli związani z tamtymi ludźmi. Ta firma zaczęła się rozwijać pod koniec lat osiemdziesiątych i zacząłem robić dla nich jakieś prace graficzne, jakieś tam kalendarzyki, nie kalendarzyki, projektować im jakieś znaki graficzne. Powstawały następne firmy z nimi związane i później przez wiele lat właśnie z takich prac żyłem – z prac graficznych, ale też z wystaw targowych, oni się wystawiali na targach, już niekoniecznie nawet Osiem Bitów. Później była firma Satori, też związana z tą firmą, dla nich robiłem targi, przez kilka lat robiłem targi dla firmy Panasonic Polska, wielkie stoisko targowe, raz do roku się wystawiali na Targach Poznańskich. Kasowałem wtedy za to taką poważną kasę, że rok można było żyć za zrobienie takiego [stoiska], tylko tak jak mówię, to było wielkie przedsięwzięcie, które ja całkowicie koordynowałem, znaczy projektowałem to stanowisko, a później zatrudniałem tam hostessy, organizowałem, więc miałem takie zlecenia na te stoiska targowe, a później się to skończyło i teraz jestem w muzyce, ale to jest znowu taka historia osobna. Gram, jakieś płyty mam wydane, niektóre moje autorskie, niektóre w jakichś zespołach. Z Ukraińcami współpracuję, z Andruchowiczem, z Ulianą Horbaczewską, jakieś łemkowskie rzeczy, ale w takim współczesnym wydaniu, no i jestem wiceprezesem Polskiego Towarzystwa Muzyki Współczesnej, które założył Karol Szymanowski i niedługo będziemy obchodzić stulecie, czyli bardzo takiego znakomitego stowarzyszenia. Siedzę w muzyce głównie w tej chwili. Nie powiedziałaś, na czym grasz. Właśnie to jest tak, że ja nie jestem instrumentalistą – znaczy gram na kilku instrumentach, jakąś tam płytę na fortepianie nagrałem, gdzie głównie gram na fortepianie, ale [też] na trąbce, harmonium, różne perkusyjne instrumenty, ale ja nie jestem instrumentalistą, to nie jest moja domena – moja domena to jest stwarzanie pewnych sytuacji, takich twórczych sytuacji, które prowadzą do tworzenia wspólnych dzieł. Mam kilka zamówień kompozytorskich z Instytutu Muzyki i Tańca, zespołowych, zrealizowanych. Mam takie swoje programy pod tytułem „Partytury Fotograficzne”, gdzie fotografie czy cykle fotografii są inspiracją do tworzenia muzyki – o właśnie, no to jest może taki przykład. Wynajduję i wynalazłem świetnych fotografów, na przykład dwóch Rumunów, znakomitych, no i daję takie zadania – często są to moje zadania – zrobić utwory oparte na cyklach fotografii. Zazwyczaj ja w tym biorę udział, ale nie zawsze, czasem zapraszam innych muzyków, żeby takie dzieła tworzyli. Wyszły jakieś płyty z tego też zresztą, nawet bez mojego udziału. Najbardziej charakterystyczne tematy fotograficzne, do których robisz muzykę? To bliskie ci będzie, bo w Nowicy był świetny koncert – no, nie mnie to oceniać, ja wiem, że się bardzo dobrze grało na Festiwalu InNowicy, „Romania Mea”, czyli „Moja Rumunia”, zrobione do fotografii Vlada Dumitrescu. Ja mogę o tym opowiadać i opowiadać. Vlad Dumitrescu, Rumun, który fotografuje taką odchodzącą, zanikającą wieś i góry rumuńskie. Niesamowity fotograf. Fotografuje przede wszystkim ludzi, pejzaże też, ale pejzaż przy tym, co on robi, to jest łatwy. On chodzi po tamtych górach, odwiedza takie zapadłe wsie, odwiedza starych ludzi i ten ich świat fotografuje, ale on to robi od dwudziestu lat i dzięki temu może wejść do tych ludzi, może ich fotografować, oni się zachowują naturalnie, dają się fotografować, taką biedę rumuńską, bo wiesz, bieda się nie daje tak chętnie fotografować, jest taka nieufna, zdystansowana, bo jest zawsze taka obawa, że zostanie jakoś tam niefajnie wykorzystana. Na przykład cykl pod tytułem „Moja Rumunia” czyli „Romania Mea”, Vlad Dumitrescu, autor fotografii, muzyka moja. Graliśmy we trójkę: ja, Tadeusz Wielecki i Cezary Duchnowski, było na to zamówienie kompozytorskie z Instytutu Muzyki i Tańca. Cezary Duchnowski to jest dzisiaj taka absolutnie czołowa postać polskiej muzyki współczesnej, zamówienia ma z całego świata, gra koncerty na całym świecie. Premiera była co prawda w Warszawie, tutaj w studio Lutostawskie-

go, w S1, w najlepszej warszawskiej sali koncertowej, ale w Nowicy zagrało się to dużo lepiej, dla małej publiczności, w szkole, w małej sali. Poszło po prostu znakomicie. Dziękujemy ci serdecznie. Kopalnia niezwykle cennych i nie do uzyskania gdzie indziej, unikatowych informacji poza strategicznymi... Wiesz co, tu jest taka sprawa, że ja mogę tak pierdolić, pierdolić i pierdolić jeszcze przez dwie godziny. Tak że bardzo proszę, żeby... [niezrozumiałe] Natomiast być może coś ci powie nazwisko Brojer, Wojciech i Anna. Oni też byli troszeczkę skrzyżowani z tematem drukarskim, chyba głównie chodziło, z tego, co pamiętam, o udostępnianie mieszkań kolejnych. To jest taka sprawa, że często nie znaleźliśmy nazwisk tych osób. My swoich nazwisk nie znaleźliśmy.